

TEMATY TYGODNIA

- 10 Violetta Krasnowska-Salustowicz **Sensacyjne tropy w sprawie zaginionej Iwony Wieczorek**
- 14 Marcin Kołodziejczyk **Zawód: ubojnik**
- 16 Joanna Solska **Rostowski przegrał, by wygrać**

ROZMOWA POLITYKI

- 19 Prof. **Andrzej Zoll** o naukowcach, którzy mówią głupstwa

KRAJ

- 22 Martyna Bunda **Gwałty ścigane z urzędu**
- 25 Marta Mazuś **Życie po śpiączce**
- 28 Elżbieta Turlej **Jak dobrzy katolicy walczą z niepłodnością**
- 30 Stefan Bratkowski **OGLĄD I POGLĄD Kościół powinien się nawrócić**

RYNEK

- 32 Joanna Solska **Szczurza plaga**
- 34 Adam Grzeszak **Mity odnawialnej energii**
- 37 Joanna Czarska **Życie bez slimów i mentoli**

ŚWIAT

- 40 BRAZYLIA Rozmowa z **bratem Betto**, sławnym teologiem wyzwolenia, o papieżu Franciszku
- 43 Dominika Pszczółkowska KANADA **Tu już nie pachnie żywicą...**
- 46 Filip Gańczak NIEMCY **Jürgen Trittin - od czerwonych do Zielonych**

HISTORIA

- 48 Jerzy W. Borejsza **Stanisław Mendelson - zapomniana legenda polskiego socjalizmu**



16 Numery Rostowskiego



22 Gwałt na ciele i duszy



32 Szarża szczurów



92 NA WŁASNE OCZY Radymno: sceny z rzezi wołyńskiej

NAUKA

- 52 Agnieszka Krzemińska **Odczytane z papirusów**
- 55 TECHNOECHO
- 56 Paweł Walewski **Ćwicz teraz, skorzystasz na starość**

KULTURA

- 64 Mirosław Pęczak **Jak się zmieniały reklamy**
- 67 KAWIARNIA LITERACKA **Krzysztof Siwczyk**
- 68 Edwin Bendyk **Wszyscy jesteśmy maszynami**
- 70 Piotr Sarzyński **Oszustwa współczesnej architektury**
- 73 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

LATO W DOBRYM TOWARZYSTWIE

- 74 Prof. **Bohdan Maruszewski, chirurg - gdzie w Polsce jest dziko**

LUDZIE I STYLE

- 78 Ola Salwa **Joan Rivers wiecznie (obel)żywa**
- 82 Rozmowa z **Lindą Stone** o ubocznych skutkach życia online
- 84 Barbara Pietkiewicz **Gdzie uprawiamy seks**
- 86 Piotr Adamczewski **ZA STOŁEM Bzik higieniczny**

NA WŁASNE OCZY

- 92 Jagienka Wilczak, fotografie **Stanisław Ciok Radymno - po co inscenizować tragedię**

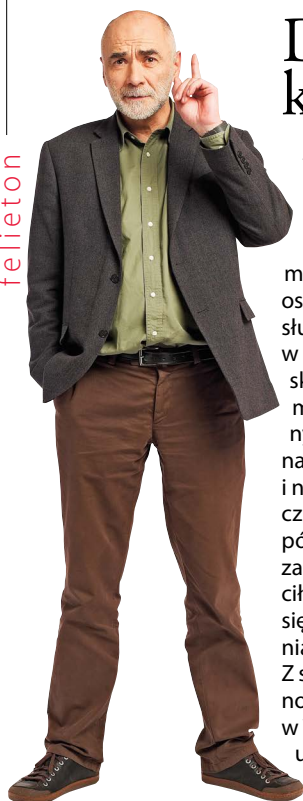
STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 60 Afisz • 87 Passent
- 88 Hartman
- 89 Tym • 90 Fusy, plusy i minusy
- 91 Do i od redakcji
- 98 Polityka i obyczaj



ślawomir mizerski z życia sfer

felieton



Dziwne losy kataryniarza

W prasie przeczytałem, że pewien prokurator z Katowic tak się zapalił w robocie, że w jednej tylko sprawie wsadził na wiele miesięcy do aresztu kilkanaście osób, w dodatku wszystkich niesłusznie. Jeszcze dalej poszedł sąd w Siemianowicach Śląskich, który skazał na więzienie niewinnego mężczyznę, gdyż pomylił go z innym mężczyzną o takim samym nazwisku (choć o innym imieniu i numerze PESEL). Co prawda mężczyzna ten, mający do odsiedzenia pół roku, wyszedł po 134 dniach za dobre sprawowanie, ale gdy wrócił w rodzinne strony, dowiedział się, że nie ma już pracy, mieszkania i żony.

Z sytuacją odwrotną do siemianowickiej mieliśmy do czynienia w Warszawie, gdzie sąd wprawdzie uznał za winnego kataryniarza grającego po stołecznej Starówce,

ale nie wymierzył mu za to żadnej kary, mimo że nie pomylił go z innym kataryniarzem. Z imienia, nazwiska oraz numeru PESEL wynikało, że kataryniarz sądzony i kataryniarz skazany to jeden i ten sam kataryniarz, poza tym powszechnie wiadomo, że po Starówce od 15 lat chodzi tylko jeden kataryniarz, którego nie sposób pomylić z żadnym innym.

W sprawie kataryniarza odbyło się pięć rozpraw, zgromadzono tomy akt, przesłuchano biegłego i wielu naocznych świadków. Pozwoliło to sądowi ustalić, że oskarżony, działając w zмовie z będącą na jego usługach papugą, popełnił serię czynów na szkodę państwa w postaci sprzedaży losów w cenie 2 i 5 zł, z których każdy był w grywający (fantami były breloczki, diabełki i żołnierzyki).

Podczas procesu Śródmiejski Zarząd Terenów Publicznych potwierdził, że co prawda kataryniarz „mógł przemieszcząć się z katarynką po Starówce i Mariensztacie”, ale o sprzedaży losów i wróżb nie mogło być mowy. Dodatkowo

urzędnicy ZTP wystąpili do izby celnej z zapytaniem, czy proceder uprawiany przez kataryniarza i papugę nie podpada przypadkiem pod rygorystyczne przepisy o grach hazardowych. Izba orzekła, że podpada, co ostatecznie pogrzyżyło kataryniarza i jego ptaka.

Dwójce tej upiekło się tylko dlatego, że – jak stwierdził sędzia – szkodliwość ich czynu, mimo że nie aż tak znikoma, aby doszło do uniewinnienia, nie jest znowu aż tak znaczna, żeby orzec choćby minimalną 20-złotową grzywnę.

Po ogłoszeniu wyroku rozżalony kataryniarz przyznał, że jeśli sprzedawać losów nie może, to nie wie, jakie będą jego dalsze losy. Nie wykluczył, że poszuka szczęścia w dalekich Włoszech.

O sobiście nie wiem, czy to dobry wybór. Włochy są co prawda krajem, do którego chętnie wyjeżdżają Polacy prześladowani przez nasz wymiar sprawiedliwości, ale boję się, że kataryniarza i jego papugę może tam spotkać okrutny los Jana Marii Rokity, na który sobie nie zasłużyli.

Demokracja w opałach

Donald Tusk zagroził demokracji. Tak natychmiast orzekli nadpobudliwi komentatorzy po tym, jak Tusk zasugerował, że lepiej nie brać udziału w referendum w sprawie odwołania prezydenta Hannu Gronkiewicz-Waltz. – Jakże to tak, zawołano, aktywność obywatelska u nas słaba, a tu sam premier zachęca do absencji? A gdy przyjdzie do wyborów, będzie wzywał, aby iść, bo tylko wysoka frekwencja może uratować jego partię. Gdzie tu logika?

Otóż w wypowiedzi premiera widzę bardzo dużo logiki, a już szczególnie w przypadku referendum warszawskiego, gdzie przecież nie chodzi o sposób zarządzania miastem, ale o zwyczajną polityczną bijatykę. Kiedy idzie się do wyborów, o których tak chętnie prawią uczeni komentatorzy, to ma się konkretną ofertę – partyjną albo grupy obywateli, przedstawiających jakiś program. Ma się kandydata na prezydenta, określoną osobę podejmującą zobowiązania. I można decydować, wiadomo, kogo będzie się rozliczać przed następnymi wyborami. Referendum warszawskie jest zaproszeniem do chaosu. Wezwanie premiera jest więc uzasadnione, bo niska frekwencja sprawi, że polityczna awantura na rok przed wyborami samorządowymi, co odbiera referendum sens, się nie uda.

Ważna w tym kontekście wydaje się inicjatywa prezydenta Bronisława Komorowskiego, zmierzająca do zmiany ustawy o referendum lokalnym. Otóż prezydent proponuje, aby wynik referendum w sprawie odwoływania



prezydentów, burmistrzów, wójtów był wiążący, jeśli w referendum weźmie taka sama liczba mieszkańców jak w wyborach. Obecnie wystarczy 60 proc., co jest progiem bardzo niskim. Prezydent chce natomiast obniżyć te progi w przypadku referendów w konkretnych, ważnych dla mieszkańców sprawach, czyli np. dotyczących inwestycji, transportu itp. Wydaje się to propozycją rozsądną, choć już spotyka się z oporem i wołaniem, że oto prezydent po raz kolejny, czyli po zmianach w ustawie o zgromadzeniach, dokonuje zamachu na demokrację.

Otóż nie na demokrację, ale na polityczne opieniacstwo, bo ono zwykle wyzwała się przy sprawach personalnych, a już szczególnie w dużych miastach będących areną ostrych partyjnych gier. Jeśli jednak podwyższenie progu frekwencji budziłyby taki opór, to warto pomyśleć o czymś na kształt konstruktywnego wotum nieufności, czyli wnioskodawcy w referendum wskazują swojego kandydata na przyszłego prezydenta lub burmistrza, aby nie była to randka w ciemno, jak obecnie. Niech przyszły kandydat na prezydenta miasta stanie twarzą w twarz z wyborcami. Nie samym warszawskim referendum jednak nasza polityka żyje, choć właściwie wszyscy już czekają na wrzesień, bo wtedy

i nowelizacja budżetu, i zapowiedziane właśnie protesty związków zawodowych pod egidą Solidarności Piotra Dudy, którego jedynym życiowym celem wydaje się być obalenie rządu Donalda Tuska. Nie ma jednak zapowiedzi strajku generalnego. Najwyraźniej praca staje się większym dobrem niż protestowanie. Operacja obalania ma się zacząć 11 września i jako przyjmowane to jest spokojnie, bez obaw o zagrożenie demokracji.

A o jakiej akcji myślą w tym czasie działacze o zmianie prezesa, bo liczba podróży po kraju Janusza Piechocińskiego i jego dialogowanie ponad podziałami nie przekłada się na wymierne sukcesy jego partii. Przekonanie, że sondaże teraz wprawdzie słabe (ostatnio tak marne jak nigdy wcześniej) przełożą się ostatecznie na przyzwolony wynik w wyborach, znika z ludowych szeregów. Odnowa wyraźnie się nie sprawdziła. Piechocińskiemu znacznie lepiej idzie zbieranie grzybów, o czym na bieżąco informuje na swoich stronach społecznościowych, niż przewodzenie partii. Zrezygnuje czy go odwołają? Jeszcze nie tak dawno zachwycono się, że PSL to partia o najbardziej demokratycznych procedurach wyborczych, że dzięki nim może nawet zmienić prezesa. Dziś zachwyty nad tym osiągnięciem demokracji wyraźnie zmalą. Szczęśliwie dla siebie zapobiegliwi ludowcy w swoje tak demokratyczne procedury wpisali, że wolę większości może zmienić mniejszość, czyli znacznie mniej od kongresu liczna Rada Naczelna partii. I tak też się zazwyczaj dzieje, że to ona zmienia prezesów, co uznawane jest za działanie racjonalne, choć mało demokratyczne.

Liczą na rachunkowość

Największe polskie uczelnie ogłosiły właśnie, ile osób, na jaki kierunek złożyło papiery. Ten etap rekrutacji na studia daje pogląd nie tyle na to, co młodzi Polacy będą studiować, ile co chcieliby studiować. Słowem, co cieszy się największym wzięciem. Z liczby kandydatów, a zwłaszcza liczby na jedno oferowane miejsce, wylania się obraz marzeń, zainteresowań i aspiracji 19-latków. A także strategii, którymi się kierują. Bo też obowiązujący od 2005 r. konkurs stopni maturalnych pozwala startować na kilka uczelni i kierunków jednocześnie, konstruować plan maksimum i minimum, i aż do końca rekrutacji, czyli do października, dokonywać wyboru: skoro nie to, o czym marzyłem najbardziej, to coś innego?

O czym zatem marzą? Rzeczniczka prasowa Uniwersytetu Warszawskiego Anna Korzekwa mówi, że od dziesiątków lat, co roku, już w lutym mogłaby obstawiać prawo. Potwierdziło się (1,7 tys. kandydatów na 400 miejsc), ale nie do końca. Przebiła je ekonomia – 2,4 tys. osób na 180 miejsc. Rzecznik prasowy SGGW Krzysztof Szwejk też oczekiwał tradycyjnych obłężeń – np. weterynarii, dietetyki, biotechnologii. Potwierdziło się – w każdym przypadku powyżej siedmiu kandydatów na miejsce. Ale aż dziesiątciu na finanse i rachunkowość. W SGH pierwszy rok jest wspólny dla wszystkich studiujących (3,7 tys. osób na 1 tys. miejsc). Z doświadczeń ostatnich lat wiadomo, o jaką specjalizację będą walczyć po pierwszym roku: finanse i rachunkowość. Piotr Bednarski, rzecznik Uniwersy-

tetu Ekonomicznego w Krakowie, mówi, że w tym roku, podobnie jak w latach ubiegłych, najpopularniejsze są oczywiście finanse i rachunkowość (ponad 5 kandydatów na miejsce).

Byłoby przesadą twierdzić, że doszło do jakiegoś powszechnego rozmiłowania w rachunkach, ale na pewno popularność tych kierunków jest najbardziej spektakularną zmianą w stosunku do poprzednich lat. Wciąż co prawda oblegane są tradycyjnie medycyna (np. na UJ 15 osób na miejsce) czy psychologia (np. na Uniwersytecie Wrocławskim 15 osób na miejsce), ale ekonomia, podatki, bankowość – to wyraźnie jest w cenie nawet na uczelniach, które niekoniecznie z tym profilem się kojarzą.

Być może to efekt ponownie obowiązkowej matury z matematyki – poszła nieźle, jest z czym startować na studia. Można też widzieć tu pragmatyzm młodzieży: jeśli nawet nie dostaną kiedyś etatu we wciąż upragnionych korporacjach, bankach, instytucjach finansowych, to zostaną pracodawcami choćby samych siebie i ta wiedza się przyda.

Na listę kierunków, na które młodzi ludzie starają się dostać z wielką determinacją, dostała się kartografia i geodezja (na PW ponad 18 osób na miejsce!). Drugi, poza rachunkowością, tegoroczny przebój. Byłby to dowód, że geodeta w Polsce znalazł się w czołówce zarobków i prestiżu? Pewnie, przynajmniej w wyobrażeniach młodzieży, takie wykształcenie daje szansę na pracę. A szansa na pracę to coraz ważniejszy motyw młodych ludzi deklarujących w badaniach, co, gdzie i dlaczego decydują się studiować. Niewykluczone, że wkrótce na liście motywów prześcignie ona zwyczajową odpowiedź: „bo takie mam zainteresowania i marzenia”. E.W.

Dokąd jadą nasze śmieci

Od 1 lipca obowiązuje nowy system zbiórki odpadów komunalnych, ale na razie niewiele się zmieniło, poza wszechpanującym bałaganem. Wciąż powtarzają się pytania, po co zmieniano ustawę, skoro jest gorzej, niż było. Głównym powodem zmiany była konieczność opanowania dzikiego rynku odpadów – szacowano, że około jednej piątej śmieci (3 mln ton) trafiało do lasów i na dzikie wysypiska. Czy teraz lasy będą już czyste?

Najwięcej wątpliwości wzbudza segregacja śmieci. W wielu miejscowościach brakuje pojemników na segregowane odpady. Zdarza się też, że firma odbierająca odpady wysypuje śmieci segregowane i zmieszane do jednego samochodu, gdzie tworzą wspólną masę. Gminy miały obowiązek przeprowadzenia przetargów na odbiór śmieci, w których obowiązywało kryterium najniższej ceny. Wygrały firmy najtańsze, co nie oznacza, że rzetelne. Spełniła się obawa, że konkurencyjny dotychczas rynek wyprą lokalne monopole. Na przykład w podwarszawskim Józefowie przed 1 lipca śmieci odbierało kilka firm. Po przetargu została jedna, która nie nadąża z odbiorem.

Teoretycznie system powinien działać następująco. Wszystkie odpady komunalne trafiają do RIPOK (Regionalnych Instalacji Przetwarzania Odpadów Komunalnych), gdzie są segregowane. Tzw. odpady zielone jadą do kompostowni, pozostałe do sortowni selektywnych i zmieszanych. Odpady nadające się do dalszego przerobu (np. szkło,



© LESZEK ZYCH

papier, plastik, metale, opony) zostają poddane procesowi recyklingu, a następnie trafiają do hut, papierni, oponami pali się w piecach cementowni, a plastikowe butelki przerabiane są na surowiec do produkcji polarów lub w specjalnych instalacjach na ropę naftową. Śmieci z recyklingu to towar, na którym sortownie powinny zarabiać pieniądze, dzięki którym będą taniej przyjmować odpady. Pozostałe nieczystości powinny być przewiezione do spalarni, a dopiero w ostateczności mogą trafić na bezpieczne ekologicznie wysypiska. Szacowano, że do 1 lipca na składowiska trafiało ponad 90 proc. odpadów komunalnych. Według dyrektyw unijnych, do których wykonania Polska się zobowiązała, do 2014 r. już

tylko 60 proc. odpadów może trafić na wysypiska, reszta musi być poddana procesowi odzysku. Później z każdym rokiem powinna maleć ilość śmieci wywożonych do zwykłego składowania, aby w dalszej perspektywie wysypiska śmieci w ogóle przestały być potrzebne. Problem polega na tym, że w Polsce wysypisk jest pod dostatkiem (nadal prawie 800, chociaż w 2014 r. ma pozostać tylko 200), brakuje natomiast sortowni i instalacji do recyklingu. Według oficjalnych danych, istnieje tylko 31 sortowni, co mogłoby tłumaczyć wywóz odpadów zmieszanych i segregowanych jednym samochodem. Na palcach jednej ręki można policzyć sortownie całkowicie bezpieczne, czyli w pełni zautomatyzowane, jak ta należąca do firmy BYŚ na warszawskich Bielanach.

W praktyce nikt nie wie, dokąd jadą śmieci komunalne. Ceny zaoferowane w przetargach przez firmy są często niższe niż koszt dostarczenia odpadów do sortowni, a to oznacza, że śmieci nadal będą upychane na tanich i groźnych dla środowiska naturalnego wysypiskach, często nieposiadających homologacji. Według ustawy, to samorządy powinny kontrolować, dokąd jadą śmieci, ale nie mają do tego odpowiednich narzędzi i wyszkolonych pracowników. Główny Inspektorat Ochrony Środowiska, który miał pełnić rolę tzw. policji ekologicznej, nie ma sił i środków, aby sprawdzać rzetelność firm śmieciowych. Kontroluje wyłącznie gminy, ale ok. 90 inspektorów wyspecjalizowanych w problematyce odpadów jest w stanie sprawdzić pod tym względem zaledwie 10 proc. samorządów. Twórcy ustawy uważają, że po początkowym okresie chaosu sytuacja unormuje się i system zacznie działać. Problem w tym, że co prawda stworzono przepisy, ale ich wprowadzaniem w życie obarczono wyłącznie samorządy. Instytucje państwowe na razie przyglądają się, co z tego wyniknie. Wiele wskazuje, że nic dobrego. P.P.

Jan Koza



© JAN KOZA

Sojusz antystrażniczy

Zwolenników Janusza Korwin-Mikkego, Janusza Palikota i Jarosława Kaczyńskiego poza walką z rządem Donalda Tuska łączy jeszcze walka z miejskimi i gminnymi strażami. Kongres Nowej Prawicy (partia JKM) organizuje lokalne referenda z postulatem ich likwidacji. Ruch Palikota złożył projekt ustawy o ograniczeniu strażom kompetencji i zbiera podpisy pod obywatelskimi projektami uchwał rad miast o likwidacji straży. PiS też idzie tą drogą. Radni tej partii przeforsowali uchwałę o likwidacji Straży Miejskiej w Zielonce, a Jerzy Wilk (PiS), nowy prezydent Elbląga, miał taki postulat w swoim programie wyborczym. Przeciwnicy straży uważają, że są one kosztowne, mało efektywne i zbyt dokuczliwe dla obywateli. Postulują, aby pieniądze zaoszczędzone na strażnikach przeznaczyć na dofinansowanie policji, rozbudowę monitoringu i inne cele, na które brakuje środków zadłużonym gminom. Pod hasłem walki ze strażami można dziś zebrać spory elektorat.

Raport MSW o działalności straży gminnych w 2012 r. podaje, że w 593 oddziałach było 9790 funkcjonariuszy i 1691 pracowników cywilnych. Strażnicy przeprowadzili ponad 3,1 mln interwencji, nakładając 1,8 mln mandatów na kwotę 241 mln zł.



© SŁAWOMIR BERNAŚ/EAST NEWS

Prawie 1,5 mln mandatów wystawiono za wykroczenia przeciwko bezpieczeństwu i porządkowi w komunikacji, w tym 965 tys. na ponad 160 mln zł, za wykroczenia ujawnione za pomocą gminnych 333 fotoradarów. Straże stały się drogówką-bis, pomnażającą wpływy do budżetów gmin. Strażnicy usunęli z dróg 27,7 tys. pojazdów i na koła 127,2 tys. założyli blokady. Ujęli 9055 osób i do izb wytrzeźwień lub miejsc

zamieszkania doprowadzili 76,5 tys. osób. W raporcie napisano, że „zasadne jest rekomendowanie powoływania straży”, bo te „doskonale wpisują się w zadania związane z zapewnieniem porządku publicznego – i obok policji – są gwarantem jego utrzymania na terenie gminy”. Raport nie mówi o kosztach funkcjonowania straży i nie odnosi się do argumentów ich przeciwników. **M.H.**

Człowiek ze struktur



© PIOTR GAMDZYK/REPORTER

Chorego Konstantego Miodowicza (PO) w komisji do spraw służb specjalnych zastąpił **Marcin Kierwiński**, poseł w polityce krajowej szerzej nieznanym, ale na Mazowszu – jeden z kluczowych działaczy Platformy.

Wstąpił do PO w 2001 r., gdy miał 25 lat. Szczebel po szczebli wspinał się w partyjnej hierarchii: w 2003 r. został wiceszefem koła Wilanów, w 2005 r. – jego szefem, w 2006 r. – skarbnikiem powiatu. W 2010 r. awansował na wiceprzewod-

niczącego warszawskiej PO (jest zastępcą Małgorzaty Kidawy-Błońskiej), został też szefem koła PO na Ursynowie. Nadal pełni obie te funkcje. W 2011 r. pierwszy raz dostał się do Sejmu, wcześniej był wpływowym samorządowcem: szefem klubu radnych PO w Warszawie, potem wicemarszałkiem województwa i radnym sejmiku.

Karierę zawdzięcza Andrzejowi Halickiemu. Kierwiński nie odgrywał większej roli, gdy w 2006 r. warszawską Platformę rozrywała wojna zwolenników i przeciwników Pawła Piskorskiego, zakończona klęską piskorczyków. Wielu lokalnych działaczy zostało wyrzuconych, tworzyła się nowa hierarchia. Kierwiński związał się z Halickim. Z kolei szef PO na Mazowszu był związany z potężnym wówczas w PO Grzegorzem Schetyną. Kierwiński bywa nazywany małym Schetyną. – *W odróżnieniu od wielu posłów PO zawsze znajdzie czas, by spotkać się z działaczami* – mówi samorządowiec z PO. Ma opinię kadrowego. Burmistrz Ursynowa Piotr Guziół wylicza, że na 11 radnych PO w radzie Ursynowa aż ośmiu pracuje w instytucjach związanych z Platformą. Marcin Kierwiński jest obok Halickiego, Kidawy-Błońskiej i Hanny Gronkiewicz-Waltz czołowym politykiem PO w Warszawie. Walczy z janosikowym, otwiera orliki i odsłania tablice pamiątkowe. Ale jego przeciwnicy wypominają mu, że to na jego terytorium, gdzie PO miała zawsze wysokie poparcie, w 2010 r. władzę przejęła koalicja Piotra Guziół i PiS. **(wbs)**

REKLAMA

presseurop

Chorwaci martwią się, że wraz z akcesją do UE, znikną ich słynne bazy

www.presseurop.eu